

Autor: Radosław Marciniak

Opublikowane w: Gazeta Horyniecka nr 15, 02 marca 2008

Pierwsze upadki

Pięć dni przełomu lipca i sierpnia 1997 roku stanowiło mój drugi pobyt w tym pustelnicznym raj, jakim jest Polanka. Przyjechałem w poniedziałek, innych gości nie było, więc miałem Marcina dla siebie. Mógł ze mną jeździć dwa razy dziennie. Rano siodłałem Karneta, a po południu Elektranta. Pogoda była piękna. Mknęliśmy leśnymi i polnymi drogami. Wybieraliśmy się na Dahany, albo wzdłuż strumyka, skradaliśmy się łąkami do wzgórza fortecznego czyli miejsca, gdzie stoi bunkier i dalej do słupów, a potem w dół drogą i do ściany lasu pędząc galopem. Nie były to jednak jazdy zbyt szybkie. Nie miałem jeszcze odwagi, aby zwiększać tempo powyżej 600 (tempo poruszania się konia mierzymy w metrach na minutę). Zresztą nie byłem w stanie ocenić tempa konia. Marcin zaś nie chciał zapewne ryzykować zdrowia i życia gościa. Może też i takie miał przykazanie od pani Ewy, więc nie pozwalał się wyprzedzać, jednocześnie prowadząc z szybkością, którą uznawał za strawną dla tak „doświadczonego” jeźdźcy jak ja. Ja zaś uznawałem zazwyczaj, że mimo moich lęków tempo jest za niskie, a doświadczenia jeździeckie opiewające łącznie na kilkanaście dni są wystarczające, aby ... no właśnie, aby się z nim ścigać.

Wyścig

Trzeciego dnia pobytu, we środę 30 lipca, zaraz po śniadaniu osiodłaliśmy z Marcinem konie i wybraliśmy się Highwayem skracając następnie w prawo w kierunku na Starą Hutę i dalej na Dahany. Szliśmy stępą, trochę kłusem, odbyliśmy krótki galop i znowu stępowaliśmy. Ja na ulubionym Karnecie, wszak nosił miękko, nie chował głowy między nogi i nie potykał się. Jednym słowem w pełni bezpieczny koń. Byłem w bojowym nastroju i postanowiłem zaproponować wyścig. Na moje „pościgamy się?” Marcin popatrzył na mnie jak na wariata i pokręcił przecząco głową, ale nie dałem mu spokoju. Droga szeroka, piaszczysta i bez zakrętów, przecież możemy jechać szybko, a mimo to całkiem bezpiecznie. Po chwili wahania dał się przekonać. Obejrzał mnie i Karneta krytycznym wzrokiem i kazał sprawdzić podciągnięcie popręgu. Chwilę zwlekał myśląc, że ja odpuszczę temat, ale widząc jego wahanie „przyparłem go do muru” argumentami trudnymi do zbiccia. Czyżby instruktor bał się, że jego koń nie da rady uczniowi? Marcin jak każdy facet, któremu rzuci się wyzwanie, zgodził się, chociaż wciąż minę miał niepewną. Zapytał jeszcze, czy na pewno podciągnąłem popręg i kazał dać mi sygnał do startu. Krzyknąłem naprzód i uderzyłem Karneta piętami po bokach. Z prawidłowym zagalopowaniem nie miało to wiele wspólnego, ale zaskoczony Karnet ruszył ostro do przodu. Pochyliłem się jednak odpowiednio nad karkiem koni i nie straciłem równowagi. Siodło klepało mnie we ... właściwą część ciała i na szczęście niezbyt mocno. To oznaczało, że w miarę panuję nad sytuacją. Marcin galopował tuż za mną po mojej lewej stronie. Zapewne się ze mną nie ścigał, ale też nie pozwolił mi się oddalić. W tym zawrotnym dla mnie i wciąż wzrastającym tempie pokonaliśmy galopem około 200 m i nagle ... poczułem miękki piach w miejscu, gdzie wcześniej klepało mnie siodło, czyli pod siedzeniem. Wodze szarpnęły moją prawą dłoń i wyrwane pozostały poza moim zasięgiem. Koń zniknął. Nie było pode mną siodła, ani przede mną szyi. Marcin ominął mnie w galopie i zatrzymał się kilkanaście metrów dalej zawracając natychmiast. Nic ci się nie stało? Zapytał. Rozejrzałem się nieco niepewnie. Co u licha, przecież pewnie siedziałem w siodle. Karnet stał spokojnie kilka metrów dalej w poprzecznej leśnej alejce i skubał trawę na jej skraju zupełnie nie zwracając uwagi na otoczenie, włącznie ze mną. Delikatnie, sprawdzając czy wszystkie części ciała mam na miejscu, podniosłem się i zbliżyłem do Karneta. Odwrócił się usuwając z mojego zasięgu szyję z wodzami. Przecież nie będę go łapał za ogon, jeszcze mi odda

kopytami i dopiero będą mnie składać. Obszedłem go, więcej nie kombinował i nie stawiał oporu. Chwyciłem wodze i wdrapałem się nieco niezdarnie na siodło. OK! Odkrzyknąłem do Marcina, jestem cały i nawet nie potłuczony. Uświadomiłem sobie właśnie jak doszło do upadku. Karnet wykorzystał luźne wodze i leśną drogę prowadzącą w prawo, i tam pogalopował, a ja „pogalopowałem” prosto, tyle, że bez Karneta. Lądowanie było jednak nadzwyczaj miękkie, jako że trafiłem na porządną, dobrze usypaną łąkę piachu, utworzoną na skrzyżowaniu leśnych dróg.

Siedząc w siodle, znowu poczułem się pewnie i rzuciłem do Marcina „ścigamy się dalej”. Gwałtownie zaprotestował, ale ja już ruszyłem galopem. Minałem feralną drogę w prawo. Instruktor przecież nie mógł mnie zostawić samego, więc rad nie rad pogalopował za mną. Ruszył z opóźnieniem i musiał się do mnie zbliżyć. Zobaczywszy, iż jestem ścigany, pochyliłem się mocniej w siodle i zacząłem okładać biednego Karneta piętami po bokach. Moje wyczucie równowagi w siodle dalekie było od prawidłowego, więc niejako popychając konia do przodu coraz bardziej leciałem na jego szyję. Marcin się zbliżał krzycząc coś na temat zwolnienia, albo wręcz zatrzymania się. Jednak nie w głowie było mi zwalnianie. Przemknęliśmy między zabudowaniami Starej Huty i galopując lekko pod górkę szeroką piaszczystą aleją wjechaliśmy w las. Poczułem, że nie mam podparcia pod lewą nogą. Oczywiście kompletnie straciłem równowagę i zacząłem zsuwać się z siodła na lewo. Odruch zadziałał natychmiast i przytrzymałem się prawej wodzy. Gałęzie drzew zaczęły mnie bić po twarzy. Karnet galopował dalej, a ja przywarłem do jego szyi i zacząłem po prostu ciągnąć za wodze ile sił, trzymając się ich przy okazji. Udem otarłem się o drzewo i o dziwo stanęliśmy. Wciąż siedziałem w siodle, na lewej stopie wisiało strzemień z puśliskiem, które wypięte z maszynki odpadło od siodła, ale zostało na mojej stopie. Szczęśliwy, że jestem cały, zawróciłem, wyjeżdżając z lasu z powrotem na drogę. Marcin był już przy mnie. Koniec tych wyścigów, bo się pozabijamy – powiedział. Dyplomatycznie użył liczby mnogiej, ale kandydatem do zabicia się byłem tutaj ja. Popatrzył na mnie i uśmiechnął się, jeszcze cię nie piecze? Nie, a co ma piec? Jak wrócisz do domu, to popatrz w lustro. Lustra pod ręką nie było, więc moja ciekawość pozostała niezaspokojona, ale za to zszedłem z konia i przypiąłem strzemień do siodła. Bez większych problemów wdrapałem się ponownie na Karneta i zapytałem niewinnym głosem, Marcin, to co pościgamy się jeszcze? Oczywiście ochota na wyścigi tego dnia dawno mi przeszła, rzeczywiście zacząłem już czuć pieczenie w paru miejscach na twarzy i do tego na lewym udzie. Miałem więc nadzieję, że Marcin się nie zgodzi. Prowokacja się udała. Gdyby wzrok zabijał, to byłbym już martwy. Marcin bowiem spiorunował mnie wzrokiem i powiedział, żadnych wyścigów, ani dzisiaj, ani w ogóle. A teraz kłusem i za mną, bo konie jeszcze ciężko oddychają.

Pani Ewie wystarczyło jedno spojrzenie na moją zapiaszczoną kamizelkę i podrapaną twarz. Obejrzała mnie krytycznym wzrokiem i usłyszałem, Czyżby ktoś spadł? Wszystko w porządku – Marcin uprzedził mnie w odpowiedzi. Na szczęście nie wygadał się, w jakich okolicznościach doszło do tego, że „nic się nie stało”. Pewnie też pomyślał o swojej chwilowej słabości, kiedy to zgadzał się na to, abyśmy ruszyli ostrym galopem.

Ponowne spotkania z ziemią

Kolejny dzień jazd minął bez sensacji. Nadszedł ostatni dzień pobytu – jednocześnie pierwszy dzień sierpnia. Pojechałem rano na Elektrancie, oczywiście z Marcinem. Wybraliśmy się nad strumyki, przejechaliśmy kłusem przez wodę, nieco pogalopowaliśmy dolinką w kierunku podjazdu do cmentarza i stępą przeszliśmy obok niego. Dalej minęliśmy słupy i kłusem lekko w dół drogą w kierunku na „ścianę” lasu. Ponownie galop i znowu kłus. Elektran swoim zwyczajem obniżał głowę w galopie i oczywiście sprawiał mi tym sporo problemów. Nie dość, że czułem się nieswojo wobec braku przed sobą punktu podparcia przynajmniej dla wzroku, to jeszcze rzeczywiście w razie potknięcia nie można było zatrzymać się, chociaż na szyi. No i stało się. Wjechaliśmy w las. Sunęliśmy galopem piękną, leśną, lekko wijącą się

drogą. Było miętko, ale miejscami wystawały zgrubienia korzeni drzew. To o jeden z takich korzeni musiał zaczepić Elektrant. Poczulem szarpnięcie do przodu, zbawczej końskiej szyi oczywiście nie było tam gdzie być powinna (to nie ten koń), Elektrant w galopie przykleknął na napięstkach i zanim zdołał się równie płynnie podnieść, ja już przestałem mu ciążyć w siodle. Zatoczyłem łuk na prawo od jego szyi, lekko go wyprzedzając. Podnosząc się szarpnął mnie jeszcze za prawą rękę, którą wciąż trzymałem wodze i obrócił mnie tak, iż zetknąłem się z ziemią prawą łopatką, przetoczyłem na plecy, a kolejne szarpnięcie za wodze niemal postawiło mnie na nogi, przy okazji powodując uczucie wyrywania ręki ze stawu barkowego. Nie uśmiechało mi się wracanie pieszo do domu, więc trzymałem ile sił i Elektrant wyhamowując swój, na szczęście niezbyt duży impet, obrócił się przodem do mnie. Zatrzymał się patrząc jakby ze zdziwieniem i politowaniem. Zapewne zdziwienie budził w nim fakt, iż nie dość, że żyję i jestem cały, to jeszcze się podnoszę, ba nawet ośmieliłem się utrzymać w ręku wodze ograniczając jego, z jakże wielkim poświęceniem, na moment wywalczoną wolność. Zaś ta odrobina politowania wyraźnie zawierała obietnicę, iż co prawda to pierwszy raz pozbył się mnie z siodła, ale jeszcze nie ostatni. Jakże prorocza była to mina, miałem się przekonać przy kolejnych pobytach na Polance. Po powrocie, tym razem nie minęła mnie przyjemność pogratulowania koniowi jego sukcesu. W piątkowy wieczór zaczęli już zjeżdżać się goście na weekend, więc było wielu zainteresowanych sposobem złożenia uszanowania koniowi, który swym sprytem i jakże ogromnym poświęceniem pozbył się ze swych pleców nieznośnego ciężaru jeźdźca. Inna sprawa, że jeździec siedząc w półsiedzie za bardzo pochylił się do przodu i ułatwił mu tym zadanie, a może nawet sprowokował potknięcie. Przy płonącym kominku napełniwszy szklanice zacnym napojem pachnącym i smakującym jak czysta wódka, który nabyłem w okolicznym sklepie, dopełniłem wymogu adepta sztuki jeździeckiej wygłaszając formułkę stwierdzającą, iż „jestem d... nie jeździec i piję zdrowie konia – Elektranta, który mnie zrzucił”. Wychyliliśmy szklaneczki do dna i rozwiązały się języki towarzystwa. Jedni opowiadali o swoich przygodach z końmi, inni zamierzający dopiero skosztować rozkoszy galopów, dopytywali się o różne szczegóły. Cichutko wymknąłem się z saloniku i poszedłem „lizać rany” mojej urażonej na szczęście tylko duszy, bo ciało pozostało w całości i w miarę nieuszkodzone. Nie zawsze jednak udawało się wyjść z opresji zupełnie cało.

Kolejny raz Polankę odwiedziłem zimą w grudniu tego samego roku. Jazda po śniegu również jest wielką przyjemnością. Konie idą cicho, miętko stawiając kopyta. Słychać wtedy ich oddech, skrzypienie siodła, a jeśli są nieco zmęczone, to lekka mgielka pary z rozgrzanych ciał unosi się nad kawalkadą. Jeśli jest większy mróz, to również śnieg skrzypi, a czasami z drzew sypią się za kołnierz wilgotniejące tam płatki białego puchu. Jazda zimą powinna być jednak ostrożniejsza, przecież nie wiemy co kryje się pod warstwą śniegu. Stosując się do tej zasady i nie czując się pewnie na nieco bardziej śliskiej nawierzchni, jeździłem ostrożniej i ten tydzień jeździecki zakończył się bez formułki na temat zdrowia konia.

Jednak już latem, w sierpniu 1998 roku Karnet pokazał, iż nie należy mu za bardzo ufać. W trakcie grupowej włóczęgi po lesie chciałem się zachować szarmancko i kiedy poprzedzająca mnie osoba zgubiła palcat, czyli krótki bat, z lekkością dwudziestolatka (w rzeczywistości lat miałem prawie dwukrotnie więcej) zeskoczyłem z Karneta i podałem jej zgubę. Oczywiście większe wrażenie zrobiłbym podnosząc go z konia w galopie, ale na taki wyczyn, w żargonie jeździeckim określany dzygitówką, nie było mnie stać. Zresztą owa lekkość, jak się okazało, też była pozorna, gdyż przy wsiadaniu gramoliłem się za długo i zniecierpliwiony Karnet po prostu ruszył galopem z moją jedną nogą tkwiącą w strzemieniu, a drugą wciąż opartą o leśne podłoże. Nie mogąc nadażyć za nim na jednej nodze, zdecydowałem o rozstaniu. Było ono jednak nieco trudne, bo noga za nic nie chciała opuścić strzemienia. Ostatecznie wyrznąłem o ziemię, strzemię na szczęście wysunęło się z maszynki i obolały odpoczywałem patrząc w piękne, opromienione słońcem niebo. Karneta złapali dobrzy ludzie czyli moi kompani z

przejażdżki i ledwie interesując się moim zdrowiem zapytali, czy żyję. Jako, że się odezwałem, uznali iż wszystko jest w porządku i zachęcili mnie, abym wreszcie wsiadł na konia, co uczyniłem dzielnie kryjąc skrzywioną i zbolałą minę za daszkiem toczka. Daszkiem, który przyłożył mi w nos tak mocno, iż skóra pękła i pozostała czerwona pręga, ale o tym dowiedziałem się dopiero patrząc w lustro w łazience swojego pokoju.

Upadki z koniem

Kolejnej zimy czułem się w siodle znacznie lepiej. Nabrałem wprawy i wydawało mi się, że potrafię poradzić sobie z każdym problemem. Nawet poślizgnięciem się konia. Było to w lutym 1999 roku. Jakże piękny był zimowy krajobraz Polanki i okolicznych lasów. Drzewa obsypane białym puchem, gałęzie uginające pod jego ciężarem. Gruba warstwa śniegu na drogach i ścieżkach tłumiąca odgłosy kopyt. Jeździliśmy codziennie. Jazdy prowadzili na przemian pani Ewa, a właściwie Ewa, jako że już dawno przeszliśmy na ty, Zygfyrd, albo Hana czyli Johana, córka Zygfyryda. Przemykaliśmy wolnymi galopami po leśnych ścieżkach, próbując wszystkich kierunków nad strumykami, na Dahany, na Monastyrz do Huty Złomy, do Starej Huty, do wąwozów i gdzie tylko się dało. Rozległość okolicznych lasów pozwalała na każdorazowe wybieranie innej trasy. Nic więc dziwnego, iż zauroczony pięknem okolicy i zafascynowany miękkością śniegu, straciłem czujność i nabrałem nadmiernej pewności siebie. Pewnego lutowego popołudnia wybraliśmy się w teren we trójkę. Prowadziła Hana, ja jechałem jako drugi na Elektrancie, a trzeci jechał Paweł. Paweł był wówczas jeszcze uczniem szkoły średniej, ale uwielbiał konie i chyba już wtedy wiedział, iż w przyszłości będzie weterynarzem. Jest nim dzisiaj i pracuje gdzieś w niemieckiej klinice dla koni, ale już wówczas wykazał się instynktem lekarza, który woli zapobiegać, niż potem naprawiać szkody i szyc pacjenta.

Jak zwykle odrobina, czyli 15 minut stępa, trochę klusa – tak około 4 minut i nieco galopu. Dotąd wszystko szło gładko. Drugi zjazd w lewo z Highwayu i ruszamy już szybszym galopem. Hana prowadzi z wyczuciem, nie przesadzając z tempem, ale też nie pozwalając na ociąganie się. Bierzemy kolejny zakręt w lewo, wszystko w galopie. Las się zagęszcza, droga nieco węższa i bardziej ośnieżona, tutaj nie widać już wcześniejszych tropów ludzi, ani koni. Gdzieniedzie trafiają się tylko ślady saren i zajęcy. Przed nami kolejny zakręt w lewo, lekko pod górę. Pamiętam drogę, potem będzie kilkaset metrów prostej i wyjedziemy znowu na Highway. Zbliżamy się do łuku. Do głowy wpada mi genialny pomysł, aby spróbować na łuku wyprzedzić Hanę, która wyraźnie zwalnia na dojeździe. Przykładam łydki i do tego z „wielką” wprawą niedoświadczonego jeźdźca pochylam się do przodu, aby nieco jeszcze pogonić Elektranta. Świat umyka mi przed oczami, ale jakby trochę nie w tę stronę, w którą powinien. Tuż przy sobie widzę pędzący mi na spotkanie śnieg leżący przy drodze. Odruchowo sprężam mięśnie i chowam głowę w dłonie i ramiona zwijając się do pozycji embrionalnej. Głuchy odgłos dudnienia daje znać o tym, iż już zderzyłem się z podłożem. Przez chwilę leżę nie ruszając się. Wszystko wydaje się w porządku. Widzę, słyszę i mogę na szczęście powoli poruszać członkami. Całość dzieje się jednak jakby w zwolnionym tempie. Przed sobą, w odległości około 30 cm widzę wystający spod ziemi pień ściętego drzewa. Musiało mieć około 70 cm średnicy – myślę. Przetaczam się na plecy. Wstaję podpierając się prawą ręką. Ból lewego barku przywraca mi ostrość myślenia. Rozglądam się wokół, bo nie widzę konia. Za to widzę głęboki, na 10 m długi ślad prowadzący do lasu. Wygląda to tak, jakby spychacz zsunął pierwszą warstwę sypkiego śniegu. Na końcu tego śladu Elektrant unosi się na przednie nogi, wstaje też tyłem i otrzepuje się ze śnieżnego puchu. Siodło nieco przekrecone na bok i unurzane w śniegu. Strzemiona zawieszono luźno na puśliskach mającą się bijąc konia po bokach, ale on na to nie reaguje. Z lewej, ze wzgórzka za łukiem wyjeżdża Hana, a z lasu wynurza się Paweł. Wszystko staje się jasne. Ślad na śniegu wyraźnie wskazuje, że gdy braliśmy w szybkim galopie lewy łuk, Elektrantowi na lodzie będącym pod śniegiem, odjechały wszystkie cztery kopyta. W efekcie upadliśmy z impetem. Być może ten

impet uratował co najmniej moją lewą nogę, bo wyleciałem poza siodło i co ważniejsze poza zasięg ciała upadającego konia. Elektrant z rozpędu ślizgiem pokonał owe dziesięć metrów, złościąc w śniegu piękny ślad. Ja szczęśliwym trafem nie uderzyłem z żaden pień, ani w stojące drzewo, a Paweł błysnął owym instynktem zapobiegliwego i pogalopował prosto w las omijając leżące i ślizgające się ciała uczestników kraksy. Hana usłyszała dudnienie upadającego ciała Elektranta (na szczęście to nie ja tak huknąłem o ziemię) i najszybciej jak mogła zawróciła, aby zobaczyć co się stało. Utykając i czując wyraźny ból w lewym barku, poczłapałem w kierunku Elektranta, który chyba również nieco oszołomiony, bez problemu dał się złapać. Obejrzałem jego kopyta, całe nogi i boki, szczególnie ten, na który upadł. Poprawiłem siodło i przeprowadziłem go kilkanaście metrów chcąc zobaczyć, czy nie kuleje. Ruszał się dobrze, zresztą w przeciwieństwie do mnie. Próbowałem się wspiąć na siodło, ale nie mogłem unieść lewej ręki. W końcu wykorzystałem pień, w który na szczęście nie trafiłem głową i wsiadłem. Po chwili stępa zakłusowaliśmy, aby sprawdzić stan Elektranta. Nie kulał, ale ja nie byłem w stanie jechać dalej klusem. Ból barku nasilał się. Do stajni wróciliśmy stępem. Paweł pomógł mi rozsiodłać Elektranta i pomaszerowałem do pokoju. Nikt nie wymagał ode mnie wygłaszania formułek. Zygfryd przyszedł dowiedzieć się, czy i na ile dobrze się czuję. W swej zapamiętałej dumie i jakże wielkiej mądrości odmówiłem wyjazdu lub przyjęcia lekarza – postanowiłem cierpieć w milczeniu. Ostatecznie poza bólem barku czułem się dość dobrze, chociaż prawdopodobnie byłem w lekkim szoku, bo trząsałem się jak w gorączce. Nie zszedłem na kolację. Noc jakoś przespałem i następnego dnia moje samopoczucie było znacznie lepsze. Po południu z uczuciem już tylko lekkiego bólu znowu jeździłem. Zanim wróciłem do Lublina spędziłem na Polance dalszy tydzień, tym razem bez żadnych fatalnych przygód, chociaż jeździłem codziennie i to po dwa razy dziennie. Potem wróciłem do Lublina. Kolejny tydzień spędzony w domu uświadomił mi jednak, że nie jest ze mną dobrze. Powoli ból się nasilał, nie mogłem spać, a rano wstawałem zdrętwiały. Po blisko trzech tygodniach od upadku poszedłem do ortopedy. Lekarz wypytał mnie o wszystko, delikatnie zwymyślał od idiotów i wysłał na prześwietlenie. Diagnoza – obojczyk wybity, złamań na szczęście nie ma. Na początek jakieś środki przeciwbólowe i maści gojące w stylu Fastum. Po miesiącu kontrola i ... do dzisiaj pozostał tylko nieco wyższy wyrostek kości nad lewym barkiem. No cóż, głupota nie zna granic, a szczególnie podatni są na nią ci, co grają twardzieli. Rok później, w styczniu upadłem z Elektrantem jeszcze raz. Tym razem poślizgnął się w na wpół zamrożonej kałuży, upadł na napiętki i zaraz się podniósł, ale to wystarczyło, abym i ja wylądował w tej kałuży. Tym razem nic się nie stało, ale gdy wstałem wyglądałem jakbym wyszedł z rzeki. Spodnie, gruby, wojskowy sweter oraz zimowa kamizelka nasiąkły zmrożoną wodą, więc ociekałem i przy okazji ważyłem chyba o 10 kg więcej. Temperatura była w okolicach zera. Rozebrałem się do koszulki z krótkim rękawem. Do stajni było pół godziny stępem, ale powolna jazda groziła zapaleniem płuc z przemarznięcia. Szybsza zaś powodowała pęd powietrza i dodatkowe chłodzenie. Ktoś pożyczył mi suchą kamizelkę i tak wróciłem. Na szczęście nie zachorowałem. Potem spadłem jeszcze z Karneta na ujeżdżalni, w lipcu tego samego, czyli 2000 roku. Moje upadki z polankowych koni zakończyły się oglądaniem od spodu kopyt Daisy. W sierpniu 2001 roku galopowaliśmy Highwayem i tuż przed rozwidleniem dróg prowadzącym na wprost do Huty Żłomy, a w prawo do Starej Huty Daisy potknęła się. To potknięcie przesadziło mnie z siodła na jej szyję. Usilnie próbowałem wrócić, ale krok po kroku zsuwałem się na prawo. Daisy mając taki ciężar na szyi opuszczała łeb coraz niżej. W efekcie znalazłem się pod jej szyją, ale wciąż twardo się trzymając. Kiedy jednak moje nogi znalazły się pomiędzy jej przednimi kończynami, doszedłem do wniosku, że lepiej się ewakuować zanim przydepnie mnie i połamie mi nogi. Puściłem się, a ona zgrabnie przeskoczyła nade mną. Wówczas pierwszy raz, jak dotąd ostatni i niech tak zostanie, zobaczyłem nad sobą kopyta przeskakującego mnie konia. Jadący za mną oczywiście widzieli co się dzieje, mieli więc dużo czasu aby zwolnić i leżącego ominąć.

W ciągu moich pierwszych pięciu lat jazdy konnej jeździłem też, chociaż bardzo rzadko, w innych miejscach. Spadałem łącznie siedem razy, trzykrotnie z Karneta i tyleż samo z Elektranta, w tym dwukrotnie wywróciłem się z nim, no i jeszcze ten jeden raz spadłem z Daisy. Jednak urok jazdy konnej, piękno przyrody, dzikie galopady i szum wiatru w uszach połączony z tętentem końskich kopyt były większe niż ból i wstyd powodowane upadkami. Chcąc jednak uniknąć owego bólu i wstydu, rok później postanowiłem wziąć się za jazdę konną nieco poważniej. Znalazłem w Lublinie klub jeździecki, zacząłem ćwiczyć skoki i kupiłem mojego pierwszego konia. Czteroletniego małopolskiego ogiera o imieniu Bajram. W 2003 roku ponownie odwiedziłem Polankę, tym razem wspólnie z Bajramem. Odtąd wstyd był większy, bo spadałem częściej (jeszcze trzydzieści razy) tyle tylko, że z własnych koni.

Radosław Marciniak